

REDAKCJA
Kopernika 34
i Wspólna 45.
ADMINISTRACJA
Biuro Ungra
Senatorska 12.

MUCHA

PRENUMERATA
w Warszawie
i na prowincji
kwartalnie
marek 2000.
Konto czekowe
P. K. O. № 4680



Biedny Polak.

— A mnie się nie chce niczego innego, jak tylko tamtej gwiazdki, zdaje się jednak, że jej nie dosięgnę.

Na śmierć Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Z hańbą na twarzy wchodzimy w rok nowy,
Przy której blednie innych grzechów stek,
Z hańbą, co nie da wyrazić się słowy,
Co palić będzie, aż po wieków wiek!
Z hańbą, co dołę nakreśla nam smutną,
Niszczy nasz cały kulturalny trud,
Z hańbą tak wielką, z hańbą tak okrutną,
Jakiej nie zaznał jeszcze polski Lud.

Zabito Tego, co z Narodu woli
Miał przez lat szereg nasze Państwo wieść,
Któremu w Jego, tak dostojnej roli,
Należne od nas uznanie i cześć.
Zabito nędznie, podstępnie i z bliska,
Gościenny przedtem czyniąc zdrady gest, —
Tego, co z blasku i ze stanowiska
Obywatelem pierwszym Polski jest.

Za cóż zabito? Czemu dłonie wiodły
Śmiertelną kulę? · Dlaczego padł strzał?
Czyliż nasz pierwszy Prezydent był podły,
Czy zdrady stanu dopuścić się chciał?
Czy się boleśnie dał komu we znaki,
Czy gniew go uniósł, lub podstępna złość?
Czy też wiódł żywot nędzny, ladażaki,
Czy chciał niezgody w narodzie siać kość?

Nie!!! Nie tkwił żaden rys w nim zły lub
szpetny,

Jeno trud zbożny stał u Jego bram;
I w poczynaniach swoich był szlachetny,
I lepszą dolą chciał zaświtać nam!
A ów szalenie spełnił czyn swój krwawy,
I całą Polskę owił w smutku szron,
Bo nasz Prezydent szedł z odmiennej ławy,
Do innej partji należał, niż on.

A czyż to w Polsce są partje jedynie?
Czyż nikt sejmowych, prócz nas, niezna burz?
Czyż z walk partyjnych tylko Polska słynie?
A czy gdzie rządzą: kij, kula lub nóż?
Czy tylko w Polsce polityczne siły
Walczą wzajemnie o władzę i byt?
A czy z walk owych rosna gdzie mogiły?
Czy kraj w żalobie? Czy na licach wstyd?

Dziś stygmat hańby tkwi na naszym czole
I morze smutków przed nami i łez!
W jakąś nieznaną podążamy dolę,
I nie widzimy, gdzie tych nieszczęść kres!
Polska Niezgodo, co dławisz, jak głazem,
Bodajś z piekielnych nie wyjrzała bram!
O, bądź przeklętą!! A z nią i wy razem,
Wy, co niezgodę tę siejecie nam!

W. B.



Obrazek świąteczny.

— Panie! To i w święta nie wolno chodzić pijanym po ulicy?

— Nie.

— Czy to aby pewne, że tak jest? A patrzył pan do tej nowej Konstytucji z siedemnastego marca, co?

Sen wigilijny.

W sejmowej sali posiedzeń wrzały przygotowania: ustawiono długi stół, nakryto go obrusem, pod który podłożono tradycyjne wiązki siana; po rogach sali stały snopki z etykietami „P. S. L. Sp. Akc”, na honorowym zaś miejscu stała choinka, pięknie ubrana i oświetlona.

Kiedy na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy, sala zaczęła się zapelniać: wszyscy senatorowie i posłowie stawili się *in corpore* na wigilję „sejmową”.

Przystąpiono do łamania się oplatkiem:

Bolesław Limanowski podszedł z oplatkiem do marszałka Trąpczyńskiego i odezwał się serdecznie:

— Panie Marszałku! Obozy nasze zwalczały się dotąd, ale kiedy Bóg się rodzi, Bóg miłości i zgody, pogódźmy się i zawrzyjmy przymierze, aby wspólnie ratować Polskę! Marszałek Trąpczyński objął starego socjalistę i zawołał:

— Święte słowa! Panowie, podejmuję myśl tego starego socjalisty-polaka. Ojczyzna w niebezpieczeństwie, zapomnijmy o naszych różnicach partyjnych, wszak jednej Ojczyzny dziećmi jesteśmy i braćmi. Kochajmy się!

— Kochajmy się! Kochajmy się! — zawrzało ze wszystkich końców sejmowej sali, która słuchała tego ze zdziwieniem, będąc przyzwyczajoną do innych zgłośń okrzyków.

I nagle na prawicy wybuchł ogromny krzyk:

— Niech żyją socjali!

A socjali nabrały dechu w piersi i poknęły:

— Niech żyją endecki!

I dalej:

— Niech żyją enpeery!

— Niech żyją piasty!

— ...i thugutty!

— ...i chadeki!

Witos uciierał swój długi nos krawatem Korfantego i beczkał przez łzy:

— A niech was wciórności! Morowe chłopcy jezdeście i polskie bracia, choć i endecki!

Daszyński objawszy się w pół z Lutosławskim spacerowali po sali wspominając swoje dziecinne lata i podarunki jakie otrzymywali na gwiazdkę.

Kilku socjalistów niezbyt aryjskiego pochodzenia zemdlało z obrzydzenia na widok tej zgody, musiano ich wynieść z sali.

Pozostała reszta zasiadła przy stole wigilijnym, śpiewając:

„Bóg się rodzi
Moc truchleje!”...

Wszystko to jest oczywiście tylko humorystycznym snem smutnego humorysty.

Jojne Kokiet rekrut polski.

Bardzo przepraszam, ja nie potrzebuje nikomu ubliżyć, nikomu odjąć cokolwiek honoru. Nic więcej nie potrzebuje, jak tylko powiedzieć szczerą prawdę. W naszych koszarach żołnierze polacy śmieją się trochę z rekrutów żydków, my śmiejemy się trochę z rekrutów polskich i tak, jak jest wolny czas od służby, my się wzajemnie cokolwieczek z siebie śmiejemy.

Żołnierz, rzetelny polak, jest jak ten lew: on jest na wojnie zapalony myśliwy na nieprzyjaciela, on klucze w żołądek z bagnetem, przymierza do oka karabin i z niego strzela, on macha z szablą, z lancą, z czym może, on krzyczy: hurra! Ja wcale nie powiadam, żeby polak nie był bardzo żwawym, gorącym, zawziętym i strasznym na wojnie. Ale co on jest w czasie pokoju, jak stoi w miasteczku i robi ćwiczenia, co on jest jak trzeba czasem ruszyć z mózgiem, ze sprytem, z wetchem do interesu, z kalkulacją? Niech on się nie obrazi jak mu powiem, że wtedy on jest nic i żeby nie miał w kompanji małą szczyptę żydków, przepadłby na głans, na lustro, na całego!

Żołnierz polak może być dobry, jak komu zależy na zdobyciu okopów niemieckich, na wypędzeniu z Polski bolszewików, na obronieniu Lwowa. Ale jak trzeba tanio do kuchni kompanijnej krowę kupić, co on jest jedno wielkie zero, jedno ogromne nic. Słowo honoru daję, że nie przesadzam nic a nic, nawet na jedno sto marek niemieckich.

Państwo nie wierzy? Niech państwo posłucha.

Łońskiego roku, jak my stojali z naszą kompanją pod Ostrowicami, od razu przechodzi do koszar pan sierżant gospodarczy i powiada:

— Chłopcy, trzaby na jutrzejszy obiad koniecznie krowę kupić, ale dobrą i nie drogo. Plutonowy Pakuła, wy potraficie tej rzeczy dokonać?

To Pakuła stanął na baczność i odpowiada:

— W cywilności jestem elektrotechnikiem i na krowach się nie znam.

Pan sierżant kiwnął na Macieja Gruszkę:

— Wiem, że jesteście z gospodarskiego rodu; pewnikiem rzecz tę dobrze mi załatwicie?

To Gruszka wziął na baczność;

— Unas—powiada—krowy się jeno przedawało, a jak nie, to niemcy brali bez targu, na prezent. Ja ta takiemu interesowi nie dam rady. Melduje posłusznie, że zjeść krowę tobym bez kilka dni zjadł, ale żeby kupić i jeszcze tanio kupić...

Jak ja to słyszałem, krowę się we mnie zagotowała. Ładny żołnierz polski, który nie umie krowy tanio kupić. Zaszczyt dla całej Państwól!

To ja wyszedłem naprzód, zrobiłem na baczność mówiłem:

— Niech pan sierżant pofatyguje się dać pieniądze. Ten interes się zrobi.

— Znaszże się na krowach?

— Melduje posłusznie co ja w cywilu jestem fabrykant tekturowe: teki, pugilaresy, torebki damskie, portmonecki...

— I będziecie umieli kupić krowę?

— Czy ja będę umiał? O jej!

— No to macie tu pieniądze ale pamiętajcie, że jakbyście pokpili sprawę...

Ale ja już byłem na podwórko.

Wpadłem, jak ostatni warjat do naszych warsztatów. W jednym kącie siedział Majer Dychawki szewc, w drugim Gdala Zylberblut krawiec.

— Kimt cy gajen!—krzyknąłem.—Pójdziemy zrobić dla naszej kompanji interes!

To my poszli i po drodze wszystko im opowiedziałem. Pod naszym miasteczkiem stojala wieś Wólka.

— Kto tu może mieć dobrą krowę do sprzedania?—zapytałem przechodzącego policjanta.

— Słyszałem, że Łukasz Sikora ma krowę i chce ją sprzedać.

My poszli do Sikory. On sobie palił fajkę nad rowem i pasł krowę, która była tłusta, jak wół, i miała mięso białe i stodkie, jak cukier.

My sobie niby tylko przechodzili na spacer i ja całkiem nie patrzyłem na Łukasza tylko na jego bydłaka.

— Dy krowe—powiedziałem do Majera—hat a cholere—dy chore krowe zoł gajen cy dy dorżnięcie.

To Gdala kiwnął z głową i przytaknął:

— Aj, aj! A grojse nieszczęście for a gospodarz! Dy krowe bez żadne kwestje hat a cholere!

Łukasz Sikora, aż się prawie zaziębił ze śmiertelnego spocenia.

— Co panowie żołnierze mówicie! Wyšta może weteryniarze?

— Wyście myśleli, że co?

Chłop się drapał w głowę. Majer z wielką ostrożnością, żeby się nie zarazić, obchodził krowę.

Gdala kiwał z głową, powtarzając: „A grojse nieszczęście!”

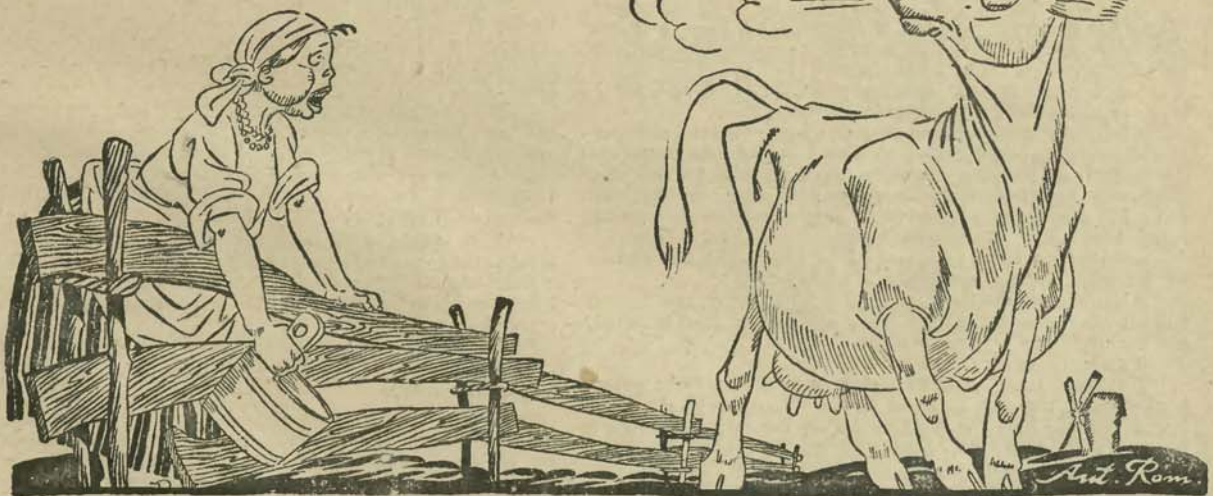
Ja tymczasem stargowałem krowę, która niby potrzebna nam była na skórę.

Jak powróciliśmy do koszar, to nawet sam dowódca nie chciał uwierzyć, żeby kto mógł taką krowę kupić za 150.000 marek.

Może żołnierz, polak, z większości narodowej, dokona takiej sztuki wojennej? Co?

U Nowobogackich.

— Panie nauczyciel! Pan masz uczyć mego syna sztuki pisania wierszy, ale ucz go pan tak, żeby za rok mógł od razu napisać drugiego „Pana Tadeusza”. Kosztów pan nie żałuj, stać mnie na to.



Na wsi.

Gospodyni. — Coś ty zwarzowała, krowo, czy co? Jakiem ty okiem na mnie patrzysz?

Krowa. — A po czemu kwarta mojego mleka?

Gospodyni. — Wiadomo po sześćset i to pół na pół z wodą.

Krowa. — To czy mnie nie wolno nawet i na gospodynię z góry spoglądać?

Wydawnictwa gwiazdkowe.

Dla dzieci.

Przygody Macieja Głotiarza. Książeczka ta pisana lekkim i przystępnym stylem przedstawia nam życie młodego zuch Macieja, który mimo swych 8-9 lat, ma wielkie powodzenie na giełdzie. Książeczka ta ma wybitne wartości wychowawcze, zapoznaje bowiem niezmiernie dla młodych czytelników z życiem giełdowym, przygotowując w ten sposób młode pokolenie do zadań czekających je w przyszłości.

Skrupna cena dnia trescy za 80 stronic druku i dwie ilustracje zachęci z pewnością rodziców do nabycia tego arcydzieła najnowszej lektury dla dzieci.

Harem w wigamie. Powieść dla młodzieży od lat 10-15-let.

Można wspominać przygód z porwaniami indjanek przez białego wędrownika, sławnego don Juana, oto typ lektury rozchwytywanej obecnie przez naszą dzielnicę młodzież. Nie brak wybitnych morderstw, w ciągu 120 stronnie gnie (rozem) rodzajami śmierci 210 osób, czyli dwie osoby na stronie. Na zakończenie strasza rzęd indjan, których gnie około 2 trescy. (Bez osobnej dopłaty).

A. B. C. — by ministrem chęć! Śliczna, wierszowana książeczka dla naszych najmłodszych.

Lekko, umiejętnie, wykrotnie i strawnie podaje zachwycające przygody rozkosznego osiołka, który staje się solidnym baranem i ministrem, a potem nagle otrzymuje dyktando.

Nasze prababki w oświetleniu podu i rza. Książeczka rozprawka z dziedzin sztuki dla dorastających panienek w wieku lat 12-14, przedstawiająca całą skądinąd niewymagającą stosowania kolorystyki i perspektywy w wiekach przeszłych.



Ile dramatów dzień ten chowa, Oto nieszczęca, biedna wdowa. (Maś szczyt chłop, jest pewnie w niebie). Będzie o suchym dzisiaj chlebie. Bówiem chce od niej, Piotr czy Marek, Za funt kartofli pięćset marek. Paniśka młoda idzie z biura, Obok kolegi są figury! Ona próżniśka, a on orze, Rezultat? Pulał się o Bode! Na niej zysk pała i kłosa, A on? Popatrzcie tylko, proszę!

Święty Mikołaj osty idzie, Już je wam damygo w biździe! Poprowię był wam ścisła, Izowy, Jaz-band i Sejidam, dwie zabawy. Gdy losy idą ci isowy, To teraz zabaw się, Warszawa. To postać jest dostojska, „W Sejmie forystum urosła, Brzech napuchł iśna dołrem jedle, Na koncesyjach-żerwin, sadie, Tacy jak on, odchłanic, nupc „Niechaj się tem iśni kłosa”.

Just inwalida! Biedna mina, Rząd o nim często zapomina. Czasem coś cykanie, potem właśnie, Gdy dać znów trzeba, rząd nasz zaśni. A inwalida tem się chlubi, Ze choć raz dzielonie jadał lub. Złoty rzece bolejące, „Po czemu wagieli?” „Trzy tysiące, „O rety! A dyć mnie nie starczy!” A ów od wogli iśno warczy: „Wynós się, babo, do cholery, Przyjdzie kto iśny, da ci cstery!”

Podręcznik niezbędny wśród książek szkolnych, słowem pobudza do myślenia nad zagadnieniami sztuki i daje niezwykle pole do rozwoju młodym naszym talentom ekonomicznym.

Najnowszy Abrakadabrus. Zbiór nieocenionych sztuczek, uczących jak można zrobić czarne z białego, białe z czarnego i coś z niczego.

Samotniczkowa forma tego bogatego zbioru, oraz nieprzebrane ilustracje z życia białego stanowią jego wielką zaletę, albowiem można z nich skorzystać wszyscy razem i każdy osobno.

Figi z makim. Broszurka przeznaczona wyłącznie dla dzieci uczęszczających do państwowych i innej podpalnej inteligencji. Zawiera 10 stron czystego, miłego papieru, dającego się użytkować na chłuski do nosa.

Ciekawy.

— Czegda mamy ci być, drogi ojciec, przy tych świętach? — Zycie mi, kochanie, daj, że bym był jeszcze sto lat, Jestem ogromnie ciekawy wiedzieć czy 2022 roku nasze partie polityczne wciąż będą się prały po łach?

Bankrut.

— Jak się masz, Rajczasz, co u ciebie słychać? — Zie słychać. Moja fabryka co raz gorzej prosperuje; wkrótce całkiem będzie bankrut! — W jakiej branży prowadzisz fabrykę? — W branży wyrobienia i wywozienia do Bolzwacji różne emblematy i alegorie adawionego kapitalizmu europejskiego. Zapotrzebowania z każdym dniem się zmniejszają.

W braku laku — dobry i opłatek.

A było to tak: Soko sobie ulica coś, co składało się z dziurawych butów, przetrzaskanej spódnicy, krakowanego toca, pustego zółdka, papierowego koleiniczka i czysto wygolonych dółów, zwanych także polickami.

Jak z powyższego opisu wynika — był to prawdziwy, niepodrabiany, przedwojenny inteligent.

Szedł więc sobie ten przedwojenny inteligent powojenna ulica powojennej stolicy i z przawczajania (to brzydkie przawczajanie uparczywie trzyma się biednych inteligentów) — myślał. Myślał, myślał, aż domyślił się, że dzisiaj właśnie jest ni mniej ni więcej, tylko Wigilia.

— Skoro tak, to trzeba będzie kupić coś dla rodziny na wczereczny i gwiazdkę — postanowił. Ale postanowienia biednych inteligentów, jest to ten rodzaj postanowień, które dają się łatwo postanawiać, ale nie dają się wykonywać.

Tak było więc i tym razem. Bohater nasz (bo przecież może być bohaterem i inteligent, chociaż dziś już to nie modne) postanowił kupić żonę, która od roku myła się ługiem, prawdziwie niepodrabiane mydło, córeczka gesty grzebień a synokom świętej słony do dziurawych butów. Prócz tych hojnych podarków gwiazdkowych postanowił zrobić zakupy na wczereczny wigilijny.

Malowało mu się, że kiedyś za dobrych czasów, w tym uroczyzm dnia jady wyborowe potrawy, nie mógł sobie ich przypomnieć dokładnie, ale zdawało mu się, że było to coś jakby ryby, przybowe uszka, kłuski z makim i jeszcze coś na ostatku, lecz co? nie pamiętał już.

Coś dziwnego, wszak było to tak dawno... przed wojną jeszcze!

Bądź co bądź, postanowił, że kupi ryb i mak. Przetrząsnął z matematyczną ścisłością ogromną liczbę swych dziurawych kieszeni, wysypał z nich kilka wyszlachanych papierków pachnących lojalnie mniejszości narodową L., chodził od sklepu do sklepu i nic nie kupił.

Za ceną resztek pensji nie mogli mu przecież dać spoceni, zżaleni, adreptani za łada panowie sklepikarze, ani mydła, ani grzebień, ani ryb i mak! Jazek! to ani ciekko pracują dla ciekko płacących, a taki łachmyka przyjdzie i za papierek, co jak dmuchnąć weń to się rozleci — Wigilej by dźciał mić.

Może gdzie w Honolułu albo w innej Bolzwacji tolerują taką niezną bezcelność darmozjadów, ale nie u nas wśród porządných, powojenných, niepodrabianých obywateli parkarzy i innych mniejszych specjalistów!

I słusznie. Tak więc inteligent został z postanowieniem, ale bez sprawunków.

Przechodził właśnie koło kościoła, na stopniach siedział żebrak i parzył nad nieprzejadnie. Myślał widzieć, że zbliża się konkurent czyhający na jego miejsce. Zrozumiał to inteligent i przedwojenny rumieniec (organ szczytowej wstędy) ukazał się na jego wygolonych własnorożnie dołach twarżowych, zwanych u innych ludzi — polickami.

Czemprzejździł sygnał do kieszeni i wyciągnął pogodzony przez panów sklepikarzy papierka. Zdał przyjrzał mu się bacznie i nagle z ogromnym rozczuleniem powiedział:

— Bracie kochany! schował się ten tysiączek na sznurek... ale, że to dziś święta Wigilia, niech cię tamtę masz tu paczkę opłatków, obyś się pocieszył z dzieciakami! Masz, znaj dziadka!

Ukłonil się nisko biedny inteligent i za dar pana dziadziwo serdecznie podziękował.

Co to była za radość w domu! Wprawdzie temi opłatkami żona nie mogła się umyć, ani córka uczesać, ani synkowie ubrać, ale skoro cała rodzina zasiada przy stole i przy pierwszym łyknięciu łazurki na podwórzu, przelamała się opłatkami i zaczęła w skupieniu spożywać — uczuli wszyscy przedwojenny smak przedwojenných ryb i przedwojennego maku.

W dobie głodu węglowego.

Sublokator. — Pani kochana! Niechże pani każe lepiej palić w piecu. U mnie w pokoju jest 6 stopni Reaumura.

Właścicielka lokala, a jednocześnie nauczycielka fizyki. — Tak? Szesć Reaumura? To powiedz pan sobie termometr Fahrenheita, a będziecie pan miał 45 stopni, czyli gorąco, jak w łaźni.

Metr materjału 60 000 mk.

— Pan musi być bogaty, panie Naparsztewicz, jeżeli moście sobie z żoną do byle choroby sprowadzić do domu doktora!

— Pan zapomina, że ja doktorowi nie płacę gotówką, tylko wystawiam mu kontraktunki na wybrane ubrania. Niech on łaźń choć codziennie. Zapłaci mi to na własną w jednym jednolitym garniturze.

O wyborze Prezydenta.

RÓŻNE DROBIAZEL.

Mówią, że Polczyka Złota, która miała udrowić finans Polski, gdy się dowiedziała o wypadkach przed Sejnem, wywołanych przez przewrót, karła jej się śmiać i podziwować za porażkę.

Marycy br. Zamysłki.

Ten czyty catowiek u swych progów Niemca zupełnie żadnych uwagów; W Pałace go wszystkie partje lubią, Lecz ma przyjaźni? Ci go zgubią.

Zawiedziony.

— Kochana żono, przynoszę ci ważną wiadomość! — Co się stało? — Mamy nowego Prezydenta! — Niepotrzebnie robiś tyle hałasu. A ja myślałam, że chiełb stanął.

Dobry pomysł.

— Panie kontrolerze, czy to prawda, że zarząd tramwajów ma zamiar zmienić dotychczasowe przepisy o wsiadaniu i wysiadaniu pasażerów?

— Tak jest, wkrótce pasażerowie będą obowiązani wsiadać z przodu a wysiadać z tyłu.

— Jakiś niedorzeczność! Poćdzi że zmiana przepisów? — Widzi pan, zarząd tramwajów ma nadzieję, że publiczność stajym swoim, zwyciężam nie zastosuje się do przepisów i idąc na opak, na złeć prawu będzie wsiadał z tyłu a wysiadał z przodu, co jest potrzebne do utrzymania porządku i bezpieczeństwa.

Wigilja urzędnika.



— Moje dzieci, niezbyt to ładnie,
Lecz pustka w mojej kieszeni na
dnie,
Więc choć na drzewko idzie wa-
ślinka,
Niech wam wystarczy taka choinka.



— Mama dostaje też prezent sutyl!
Dałem wylaść ci oba buty,
Choć nadszarpnęło to kasę trochę,
Lecz wiedz, żoneczko, jak mąż cię
kocha.



Śpią! I śnią chłopcy i śni dziewczynka,
Jaka u innych była choinka.
Trudno! Nie dla was to co na
drzewie,
Bo o paskarstwie ojciec wasz nie wie.



— Choć urzędniczy bieg życia
trudny,
Mam tu dla taty prezent przecudny!
Gdy ostre cięgi bierze od losów,
Niech ma raz radość... pięć papie-
rosów.



— Babcję już pewnie bierze oskoma,
Oto jest prezent dla babci, słoma!
Babcia już stara, nie całkiem zdrowa,
Niech sobie babcia śpi, jak królowa



I tata śni też! Co tam sny waszel!
Toć jemu śnią się nowe kamazse,
Radość mu serce kraje na ćwierci..
Będzie je widział, ale po śmierci.



— Mieście wy, dzieci, też uciechi
ślady,
Kupiłem „kawał” wam czekolady,
Na trzy go części podzielę, smyki,
Wiedźcie wy także, co smakowały.



— Teraz do uczyty siadaćcie wkóło,
Mamy śledzika, będzie wesoło,
I w jedno jabłko stół też bogaty,
Jest pół kieliszka wódki dla taty.



Mamę rozkoszny sen też rozpiera.
Cukier i mąka na cztery zera!
Jutro nad ranem szepnie boleśnie:
— Dobrze choć szczęścia zaznać
i we śnie.

Dalekie echa.

W piekle zapanowała psia pogoda. Liście już dawno z drzew pozlatywały. A deszcz lał i lał. Rynsztokami i ulicami pędziły mętne, brudne fale, niosąc z sobą fury śmieci (kilkomiesięczny zapas!).

Przyjemności — niczem warszawskie o tej samej porze roku!

W czas taki grono monarsze zbierało się pod „Wrzącą Smołą”. Ot i teraz w zacisznym kącie rozsiedli się szlachetni monarchowie i ich świta. Był tam Mikołaj II, Katarzyna II, Fryderyk „Wielki”, Franciszek Józef I, Karol, Marja Teresa, Piotr „Wielki”, Metternich, Repnin, Bismarck i inni.

Właśnie dokończono czytania najświeższego „Kurjerka”. Fryderyk „Wielki” poklepał po kształtnych udach Marję Teresę (co się mocno niepodobało Katarzynie, zmuszonej zaatakować ognistem spojrzeniem ledwie trzeźwego Karola) i rozpoczął „de politics”.

— Moja Rzesza, mówił, jest w pomysłach niewyczerpana. Na przykład ta heca ze spadkiem marki niemiec-

kiej! Doganiamy Bolszewję — ale Francja, wobec nasze go bankructwa dostanie z odszkodowań guzik.

— Nie dla psa kielbasa, bruknął Bismarck.

— Tak, ale zważmy, wtrącił Piotr, że nie ma już Lloyd George'a! Złamał biedny Ikar (zapomniał dodać: „Pejsaty”) skrzydła wczas lotu dardanejskiego!

— Niestety, niema go już! — odezwały się głosy boleści. A Nowosilcow, ocierając łzy, zawołał gromko:

— Kto teraz wieszac będzie Polskę na każdej przydarzonej gałęzi? Kto ciskać jej będzie głazy pod stopy? Żal i ból owiały wszystkich.

Wtedy podniósł się Bismarck.

— Jest ktoś taki, zakrzyknął. Otrzyj łzy, Nowosilcowie! Jest! To oni sami! Oni sami będą się wzajem żreć i wieszac i to tak sprawnie, że i ty, Nowosilcow i L. George lepiej byście tego nie potrafili!

Tak, prawica żreć będzie i wieszac lewicę, a lewica prawicę, ku uciesze i korzyści tego trzeciego, to jest żydów, Niemców i komunistów!

Nieco gramatyki.

§ 1. Wszystkie rzeczowniki, kończące się na „ny” trzeba obchodzić pijatyką np. chrzciny, urodziny, imieniny, oprócz słowa „wesele”, które chociaż nie kończy się na „ny”, także trzeba obchodzić pijatyką.

§ 2. Rzeczowniki kończące się na „arz” ciężko pracują np. mularz, szklarz, tragarz, oprócz słowa „paskarz”, który ma lekką pracę, chociaż zasługuje na ciężkie roboty.

§ 3. Rzeczowniki kończące się na „or” — są dumne i groźne np. dyrektor, rewizor, redaktor, konduktor, oprócz „sublokator”, który jest cichy, pokorny, zahukany i zgnębiony.

§ 4. Przysławka „par” przy rzeczowniku oznacza ochronę od czegoś np. parasol (chroni od deszczu), parawan (chroni od męża), paraliż (chroni od doktora).

§ 5. Przymiotniki mają trzy stopnie: równy, wyższy i najwyższy. Np. stopień równy: biedny, stopień wyższy: nędzarz, stopień najwyższy: urzędnik państwowy.

§ 6. Czasownik ma cztery czasy: zaprzeszły, przeszły, terażniejszy i przyszły. Np. czas zaprzeszły: Mój dziadek miał majątek i dzieci. Czas przeszły: Mój ojciec miał tylko dzieci. Czas terażniejszy: Ja nie mam ani majątku, ani dzieci, tylko siebie. Czas przyszły: Mój syn nie będzie miał nawet siebie. I kto wie czy nie zrobi mądrze?

§ 7. Rzeczownik ma dwie liczby: pojedynczą i mnogą. Np. liczba pojedyncza: paskars, liczba mnoga: sklepiars.



Współtuje.

— A ja nie mam nic na Święta.
— Wiem, wiem! Inwalida z czasów najścia bolszewików. Widzę, że prawdziwy, współtuję z całego serca, ale proszę mi nie opowiadać nic o swojej niedoli, bo mi zepsujecie apetyt na ucztę wigilijną.

Mój sen.

„Coby się stało, gdyby zaszło to, do czego, chwala Bogu, nie doszło...”

Wieczorem, dnia dziesiątego grudnia 1922 roku, cała Warszawa zaelektryzowana została donośnym krzykiem pięciu tysięcy roznościcieli gazet, którzy darli się na całe gardło: „Do-atek nadzwyczaj!... z „Kurjera Warszawskiego”. Władysław Rabski—Prezydentem Rzeczypospolitej! Do-atek nadzwyczaj!... Jedyne numer bez ogłoszeń i nekrologów! Rabski Prezydentem!”

Publiczność z wypiekami na policzkach rozchwytywała białe szmaty papieru, na których najtłustszym drukiem, umieszczona była sensacyjna wiadomość:

„Na Zgromadzeniu Narodowym godność Prezydenta Rzeczypospolitej jednogłośnie powierzona została współpracownikowi naszego pisma, znakomitemu autorowi słynnych „Kartek ulotnych” i osławionych recenzji teatralnych Doktorowi Władysławowi Rabskiemu!”

W kwadrans po dokonany obiorze nowoobрани Prezydent, uciszwszy burzliwą owację posłów i senatorów, zażądał pióra, atramentu i papieru i wśród uroczystej i dostojnej ciszy skreślił specjalnie dla naszego pisma ostatnią swoją „Kartkę ulotną”, którą poniżej podajemy z całkowitym pietyzmem:

Kartki ulotne.
„Ostatnia”.

Więc stało się! Tak! Nieodwołalnie na lat siedem... Spazm zaciska mi gardło, wzruszenie tłumi oddech w piersi, gdy o tem pisał!

Stało się! Peractum est! Wzbrańałem się i wzdragałem! „Za wielkie to ciężarki na Moje rabskie barki!” — nic nie pomogło!

Przyszli i stanęli przede Mną dostojni wysłańcy Narodu, czcigodni bogacze i możnowładcy... Jak łan pszeniczny skłoniły się przede Mną ich głowy...

— Władysławie! Ratuj Polskę! W Tobie jedyna nadzieja, jedyny synu swej jedynej Matki-Ojczyzny! Oczy

całego Narodu na Ciebie jedynie zwrócone! Zmiłuj się nad nami! Ty jeden godnie utrzymasz tradycję Władysławów Łokietków i Jagiellów! —

Wahałem się!

Wtem poselskie Moje oczy padły na stos depesz błagalnych przysłanych na Moje Imię ze wszystkich zakątków kraju. Przeczytałem jedną, drugą, dziesiątą, setną, sto pierwszą i tysiąc pierwszą... Wszędzie to samol jeden zgodny chór błagalnych głosów:

— Władysławie! Za Tobą zbawienia słońce!

Skłoniłem głowę przed tą przemożną wolą społeczeństwa!

— Przyjmuję! — padło z ust Moich...

Więc pisałem... Tę ostatnią Moją „Kartkę ulotną”! Przez siedem lat nie napiszę już ani jednej! Tak! Ani jednej!

Z wysokości Mego przydziałnego fotela przesyłam wszystkim kwartalnym i rocznym prenumeratorom „Kurjera Warszawskiego” Moje Najmiłoścwsze Prezydenckie pozdrowienie!

Sapienti sat.

W. R.

Nieporozumienie.

— Co tam mruyczysz pod nosem?!

— Nie przeszkadzaj: śpiewam sobie hymn „Boże Cara chrani”.

— Po co to śpiewasz? Czy ty jesteś rosyjski monarchista?

— Nie zwracaj mi głowy z monarchizmem. Proszę Boga, żeby naczelnik kancelarii osobistej prezydenta państwa, pan Stanisław Car, został na swoim stanowisku. To bardzo zdolny i miły człowiek. Ja go znam.

Ruch organizacyjny.

— Trzeba przyznać, że jednak wśród naszego społeczeństwa budzi się ruch organizacyjny.

— To prawda; wczoraj znowu czytałem o wykryciu kilku nowych organizacji bandyckich.



Niestety, djabeł ma rację.

Święty Mikołaj — Czego się wloozesz za mną, djabeł przeklęty?
Djabeł. — Bo widzę, że zmierzasz do Polski, o Święty, a tam należy im się właściwie moja różga, nie twoje podarki.

Zna się na chorobach.

— Czego to paniusia take smutna?
— Mąż mi umarł.
— A na co umarł?
— Na zwapnienie arterji.
— A czemuż mąż pani był?
— Majstrem mularskim.
— No widzi paniusia, to ma się z tego, jak się wychodzi za mąż za mularza.

Dobra rada.

— To dziwne! Ile razy jestem na polowaniu, a celuję w zająca to trafiam zawsze w chłopaka z naganki.
— Na to jest rada! Celuj w nagankę, a trafisz w zająca.

Trzej królowie.

Maly Kazio w dzień Trzech Królów pisze na drzwiach K. M. W.

Mama: Czy nie wiesz, że się pisze: K. M. B. na pamiątkę trzech królów: Kacpra Melchjora i Baltazara, którzy pojechali do Betlejem?

Kazio: Wiem mamusiu, ale ja piszę K. M. W. na pamiątkę trzech królów: Karola, Mikołaja i Wilhelma, którzy po wojnie pojechali do lali.

Przy deserze.

— Dla czego zmieniliście waszego lekarza?
— Bo przepisał mi do smarowania maść cynkową. Uważasz pani, mnie, której mąż trzęsie wszystkimi jajkami w całym Królestwie Polskiem i ma w Warszawie 218 kamienic albo i więcej, jakby nas nie stać było na maść złotą.